

DWA BIEGUNY: SPORT CZY TOWAR?

Mecz jest pasjonujący. Hiszpańska drużyna Getafe z przedmieścia Madrytu prowadzi z Bayernem 1:0. Pierwsze ćwierćfinałowe spotkanie tych drużyn o Puchar UEFA toczy się w Monachium, więc rezultat jest sensacyjny. Gospodarze kontratakują, bo utrata punktów na własnym terenie pomniejsza szanse w rewanżu. Szybkie podania, błyskotliwe akcje, raz jedni, a za chwilę drudzy w ataku. Jest na co patrzeć, bo to futbol najwyższej klasy. Emocjonujące starcie znakomitych, równorzędnych zespołów. Ale oto pod koniec pierwszej połowy znany sprawozdawca transmitującej ten mecz publicznej telewizji przestaje interpretować to, co dzieje się na boisku i wdaje się w zupełnie nonsensowne rozważania na temat finansowej sytuacji Bayernu, dziwi się, że klub, który wypracował w minionym roku 25 milionów euro zysku, nie może sobie poradzić ze znacznie uboższą hiszpańską drużyną. Ba, Niemcy tracą pieniądze, bo przecież awans do półfinału ma nie tylko sportowe znaczenie, ale oznacza dalsze konkretne dochody. Reporter zamienia się w doskonale zorientowanego w dochodach klubowych księgowego! Na szczęście kończący pierwszą połowę gwizdek przerywa również te finansowe wywody.

Z miejsca przypominam sobie inną telewizyjną relację – z fantastycznego meczu, jaki nasza reprezentacja stoczyła podczas młodzieżowego Mundialu z Brazylią w 2007 roku. Polacy zagrali z polotem i niezwykłą ambicją. Pokonali Brazylijczyków, choć ci dokazywali cudów. Improwizowali, wychodzili z siebie, ale przecież przegrali. A dwóch naszych komentatorów zamiast na dramatycznej grze skoncentrowało uwagę na tym, ile każdy z Brazylijczyków jest wart dolarów, jakie europejskie kluby ich kupiły i co na tym zyskały, bo inni już chcą ich odkupić. A był w tym meczu również i polski akcent finansowy przy każdym zagranu asa naszego ataku Jańczyka, który został akurat kupiony przez CSKA Moskwa i warszawska Legia otrzymała za niego 2,5 miliona euro! Z giełdą miałem do czynienia, a nie z wielkim sportowym spektaklem, kiedy świetni i lepsi zostają pokonani przez waleczniejszych, co stanowi o niepowtarzalnych walorach nie tylko futbolu, ale i sportu w ogóle.

W finansowym tonie utrzymane są również sprawozdania z pucharowej fazy rozgrywek tegorocznej Ligi Mistrzów na łamach *Gazety Wyborczej*: „Czwarty sezon z rzędu najbogatszy klub świata odpada już w 1/8 finału Ligi Mistrzów” – tymi słowami rozpoczyna się relacja z wyeliminowania Realu

Madryt przez Romę, poczym mowa o finansowych konkretach, że 119 milionów euro wydane latem na piłkarzy, a 250 milionów w dwóch ostatnich latach miały być gwarancją, że nieszczęścia z ostatnich trzech lat już się nie powtórzą, a tu ponownie klapa! Tak jakby o wyniku gry musiała decydować łączna suma za jaką kupuje się piłkarzy, a nie ich aktualna dyspozycja i psychiczna motywacja w ciągu 90 minut gry.

W podobnym tonie utrzymane jest sprawozdanie z meczu, w którym Fenerbahce pokonało w Stambule Chelsea 2:1. Połowa tekstu poświęcona jest dwóm milionerom – Rosjaninowi Romanowi Abramowiczowi, którego stać na wszystko i kupuje dla swojej angielskiej drużyny bez umiaru oraz Turkowi Yildirimowi, którego wprawdzie jeszcze nie stać na takie wydatki, ale budżet jego klubu w tym roku wynosi już 200 milionów dolarów. Dzięki sukcesom piłkarzy Fenerbahce już pół Turcji chodzi w koszulkach tego klubu i myje zęby szczoteczkami z tymże logo, sprzedawanymi w pięćdziesięciu sklepach sieci „Fenerium”, należącej oczywiście do Yildirima. A wpływy ze sprzedaży koszulek i gadżetów Fenerbahce w poprzednim roku wyniosły 25 milionów dolarów! I to są teksty spod piór cenionych nie tylko przeze mnie dziennikarzy *Wyborczej*, którzy przecież czują sport.

Fascynacja zarobkami zawodników, stawkami za zwycięstwa czy też pulą nagród w relacjach z wielkich imprez nie dotyczy wyłącznie futbolu. W sprawozdaniach z turniejów tenisowych obok miejsca na listach rankingowych WTA zawsze zostanie też wymieniona lokata na liście zarobków względnie aktualny stan zarobków! Nie zapomnę, jak na przełomie wieków w telewizyjnych relacjach z lekkoatletycznych mitingów Golden League troskliwie liczone wzrost dochodów rewelacyjnej biegaczki rumuńskiej Gabrieli Szabo, która wygrywała kolejne zawody i w ciągu dwóch lat zarobiła milion dolarów. I ten fakt był ważniejszy niż ustanawiane przez nią rekordy na średnich dystansach!

Mógłbym w nieskończoność mnożyć fakty dobitnie ilustrujące mentalną zmianę w traktowaniu sportu w sposób ściśle merkantylny, a więc jako towar. Ważniejszy niż emocje! Bo sport, a zwłaszcza piłka nożna, uległy w ostatnim dziesięcioleciu totalnej merkantylizacji. I to nie tylko w sensie stawek za wynik. Powstał bowiem rynek, na którym kupić można każdego i wszystko. I to nie tylko w przekroju klubowym. Do załatwienia stały się przecież sprawy przynależności państwowej – obywatelstwa, czego najlepszym dowodem w naszym przypadku był występ Nigeryjczyka Olisabebe w reprezentacji Polski w eliminacjach oraz Mundialu 2002. A ostatnio z kolei pomocnika warszawskiej „Legii” Brazylijczyka Rogera Guerreiro, którego zrobiono Polakiem w niezwykle przyspieszonym trybie z ceremonią nadania obywatelstwa w Pałacu Prezydenckim włącznie. W tym względzie nie jesteśmy bynajmniej oryginalni, ale wręcz wtórni, gdyż ten sposób wzmacniania narodowych reprezentacji już dawno został odkryty nie tylko przez słabeuszy, ale również sportowe potęgi i to nie tylko w futbolu. Gdzie te czasy, kiedy

nasza oszczepniczka Anna Wojtaszkówna, która po igrzyskach olimpijskich w 1956 r. w Melbourne została w Australii, bo zakochała się i wyszła tam za mąż, musiała potem aż 8 lat czekać na następny start w olimpiadzie, gdyż takie były przepisy regulujące możliwość występu w igrzyskach po zmianie obywatelstwa! Dziś narodowość w sporcie można zmieniać jak rękawiczki i „reprezentanci na sprzedaż” występują w wielu dyscyplinach sportu. Przykładem choćby tenis stołowy, w którym już w kilkunastu reprezentacjach narodowych występują niezwykle uzdolnione w tej grze Chinki oraz Chińczycy. Bo Chiny mają ich nadmiar, więc można ich kupić. Słowem – sport, sportowcy nie tylko stali się towarem, ale i coraz częściej są traktowani jak towar i to bez względu na dziedzinę, którą uprawiają, od futbolu, przez lekką atletykę po ping-pong.

Trudno ustalić, w którym momencie szczytne przesłania uprawianego amatorsko dla sławy sportu odstawiono w ką, zamieniono w towar. Zdolność do tej przemiany tkwiła zresztą w istocie sportu – w stałym dążeniu do bycia coraz lepszym i ustanawiania nowych rekordów, co wiązało się z coraz intensywniejszym treningiem, tytaniczną wręcz pracą, ba, podporządkowaniem całego życia, wymagającego zapewnienia egzystencji.

Trudno ustalić nie tylko przełomowy moment tej transformacji, ale choćby i jej początki. Na pewno nie była inaguracją tej przemiany paczka z dzieśięcioma tysiącami dolarów wrzucona do samochodu, którym triumfalnie wieziono przez ulice Nowego Jorku Jesse Owensa po powrocie z igrzysk w Berlinie, gdzie nie tylko zdobył cztery złote medale, ale obalił głoszoną przez faszyzm teorię o wyższości białej rasy. Te dolary zebrała murzyńska biedota i ukradkiem wrzuciła do obsypanej kwiatami limuzyny, aby nie narazić swojego równie ubożego bohatera na utratę praw amatorskich. Z całą pewnością wiadomo wszakże, że merkantylizacja zaczęła się dobre pół wieku temu za sprawą polityki, a konkretnie w miarę rozwoju zimnej wojny, w której komunizm właśnie przez sport usiłował wykazać wyższość swego ustroju nad kapitalizmem. Bo też wyłącznie na tym polu było to możliwe i zarazem niezwykle widowiskowe.

Sportowcy Związku Radzieckiego po raz pierwszy pojawili się na igrzyskach olimpijskich w 1952 roku. Wywalczyli 71 medali i w drużynowej punktacji zajęli drugie miejsce za absolutnym hegemonem w światowym sporcie USA, które zdobyło zaledwie o 5 medali więcej. W cieniu walki o pierwszeństwo ustrojów trzecie miejsce zajęły wyniszczone do cna, okrojone w rezultacie wojny o ponad połowę swego terytorium i znajdujące się pod brutalną komunistyczną dyktaturą Węgry z 42 medalami, co również było ogromną sensacją. Co więcej, drużyna piłkarska Węgier uratowała na tej olimpiadzie honor socjalistycznego sportu! Kiedy bowiem reprezentacja ZSRR została wyeliminowana w ćwierćfinale przez piłkarzy Jugosławii, która właśnie wystąpiła z Kominternu, Stalin osobiście telefonował do I sekretarza węgierskich komunistów Matyasa Rakosiego, by ten zrobił wszystko, żeby drużyna

Węgier ukarała zdrajców. Węgrzy wygrali w finale z Jugosławią 2 : 0 i kariera słynnej „złotej jedenastki” zaczęła się od niezwykle wysokiej premii finansowej przyznanej im extra przez Rakosiego, który dzięki temu sukcesowi zyskał ogromne fory u Stalina. Od tego momentu też kierownictwo partyjne zaczęło chodzić na wszystkie mecze reprezentacji, która stała się oczkiem w głowie ustroju. A kiedy dygnitarze zasiadali w honorowej łoży, kapitan drużyny, legendarny Ferenc Puskas, po sprawdzeniu czy przybył również I sekretarz, bez żenady meldował trenerowi i najważniejszej wówczas osobie w węgierskim sporcie Gusztavowi Sebesowi: „Jest towarzysz Rakosi, jeśli mamy wygrać – to 100 tysięcy forintów!” I drużyna dostawała tyle za jeden mecz, przy średniej miesięcznej wynoszącej wówczas 1800 forintów!

Zwycięstwa i rekordy szły w świat, służyły propagandzie, więc warto było za nie płacić. Magię interesu odkrył w tej dziedzinie pod koniec lat pięćdziesiątych radziecki sztangista wagi ciężkiej – Jurij Własow. Mocarz i intelektualista w jednej osobie, czytany światowiec, który za każdym kolejnym startem poprawiał rekord świata najchętniej o pół kilograma. A że w podnoszeniu ciężarów obowiązywał wówczas trójbój, więc co tydzień był rekord i premia. W naszych czasach kontynuował ten proceder Sergiej Bubka. Uważnie śrubując rekord świata w skoku o tyczce po jednym centymetrze!

W sporcie, w którym zawsze więcej znaczyło BYĆ niż MIEĆ, nagle nie tyle załamała się ta filozofia, ile wprzód twórczo spłotła się w jedność, by następnie coraz bardziej przeradzać się w chęć posiadania, w PRYMAT MIEĆ. Jeśli bowiem nie można wywalczyć zwycięstwa, to można przecież je kupić, a i równie dobrze, a może nawet jeszcze lepiej je sprzedać. Fala korupcji ruszyła przede wszystkim w futbolu, ale nie tylko. Bodaj w szermierce już w latach sześćdziesiątych stało się modne barterowe kupczenie zwycięstwami w indywidualnych turniejach. „Oddaj mi tę walkę, bo potrzebna mi dziś do medalu, a ja ci ją zwrócę, kiedy tylko tego zażądasz!” Tajemnicą poliszynela jest to, że ta właśnie praktyka została wykorzystana w szantażu, który uwikłał szablistę wszechczasów Jerzego Pawłowskiego w służbę obcego wywiadu. Ale ta i tej podobne praktyki zbladły wobec totalnego fałszu rozgrywek piłkarskich, które kolejno odkrywano we Włoszech, w Niemczech, na Węgrzech czy wreszcie u nas przekreślając sens sportowej rywalizacji.

Czy istnieje możliwość wyjścia z impasu merkantylizacji sportu i tego zła, które z sobą niesie? W końcu w interesach również obowiązują określone reguły, przestrzega się obowiązujących kodeksów, a nawet zasad fair play. Bo to się opłaca. Klarowność reguł i czystość rywalizacji to jedno, działanie ludzi, różność charakterów, wielkość pokus to drugi jednak biegun. Jak postępować w sytuacji, kiedy sport stał się największym widowiskiem świata, kolosalnym bilbordem reklamowym najbogatszych koncernów, ciągle jednak pozostając areną fascynujących zmagania oraz szkołą charakterów, w której musi wygrać lepszy?